

Mój pierwszy wyjazd na prowincję

Wiele naszych pacjentek nie mieszka w Phnom Penh, lecz pochodzi z mniej lub bardziej odległych prowincji. Dziewczyny pracujące w naszej organizacji jeżdżą więc co jakiś czas do domów naszych klientek: tam przeprowadzają z nimi rozmowy i wypełniają dokumenty związane z przystąpieniem do naszego programu, który obejmuje opiekę ciążową i pociążową aż do ukończenia przez dziecko 18 miesiąca życia. Tam też spotykają się z rodziną naszej klientki (jeżeli z nią mieszka) oraz szefem wioski i szefem gminy, którzy doskonale znają i poświadczają na papierze informacje dotyczące sytuacji osobistej i materialnej naszych klientek i ich rodzin. W czasie ciąży i po porodzie regularnie odwiedzamy nasze pacjentki mieszkające na prowincji. Niektóre z nich rodzą w miejscowych placówkach medycznych, lecz niektórym - zwłaszcza tym w ciąży wysokiego ryzyka - radzimy, by przyjechały rodzić w Phnom Penh, gdzie poziom opieki medycznej jest zdecydowanie wyższy. W pierwszym tygodniu mojej pracy w organizacji zaproponowano mi, bym pojechała razem z dwoma innymi dziewczynami na dwa dni na prowincję, odwiedzić dwie nasze pacjentki - jedną niepełnosprawną ruchowo z kilkumiesięcznym dzieckiem i drugą, młodą dziewczynę w ciąży.

Wyjeżdżaliśmy więc we trzy z Phnom Penh autobusem we wtorek rano. Miałymy ze sobą wielkie torby, w których znajdowały się rzeczy dla naszych pacjentek i ich dzieci. W autobusie jak zwykle leciała khmerska muzyka z napisami karaoke, ludzie sobie podśpiewywali. Gdy po godzinie autobus zatrzymał się na przerwę, kupiliśmy za kilka groszy w ramach przekąski nadziewane jak szaszłyki jajka z grilla. Niektórzy jedli prawdziwe dania: zupy z makaronem albo smażony ryż z mięsem. Po 15 minutach jechaliśmy dalej przy niekończącym się khmerskim karaoke.

Po dwóch godzinach, gdy tylko dojechaliśmy na miejsce, poszliśmy do tamtejszej placówki medycznej, gdzie czekała na nas nasza ciężarna klientka. Placówka wyglądała jak wielka przychodnia, a przechodząc można było przez otwarte drzwi zaglądać do wielkich pokoi, w których znajdowali się pacjenci. Po terenie placówki przechadzali się rodzice z chorymi dziećmi, które miały - wszystkie po kolei - podłączone kroplówki. Ludzie siedzieli w pokojach, na zewnątrz, na matkach, w hamakach, jedli, spali, czekali. Gdy przechodziłam - obserwowali mnie uważnie. Chyba nie mają okazji widywać zbyt wielu białych ludzi. Jeden pan na mój widok zawołał nawet swojego małego synka i wskazywał na mnie palcem, coś mu tłumacząc. W szpitalu przy każdym pacjencie - czy to dorosłym, czy dziecku - czuwały całe rodziny, zarówno w dzień jak i w nocy. Dowiedziałam się, że zajmowanie się pacjentem nie należy tu do obowiązków pielęgniarek, dlatego chorym muszą towarzyszyć bliscy: przynoszą mu jedzenie i wodę, pomagają się umyć i przebrać. Rodziny śpią na jednej sali z wszystkimi pacjentami: rozkładają karimaty i spędzają tam całe dni i noce.

Naszą pacjentką była dwudziestokilkuletnia dziewczyna, która zaszła w ciążę w wyniku gwałtu. Według podanej przez nią daty ostatniej miesiączki, termin poród przypadał na połowę lutego (a był koniec listopada). Poszliśmy z nią na wizytę do ginekologa. Gabinet ginekologiczny był bardzo skromny i mało przytulny. Lekarka wypełniała wszystkie dokumenty odręcznie, ginąc w stosie papierów. Zmierzyła pacjentce ciśnienie i wysłuchała tętna dziecka. Odebraliśmy wyniki badań krwi i moczu i poszliśmy na USG. Okazało się, że lekarza, który wykonuje USG, nie ma - usiadliśmy więc na zewnątrz, w słońcu, pod gabinetem i czekaliśmy na lekarza, co trwało około godziny. Gdy się zjawił, wykonał USG i okazało się, że dziecko waży około 3 kg i termin porodu przypada nie na luty, lecz na początek grudnia - za 10 dni! Zrozumiałam, że wiele kobiet nie pamięta, nie spisuje, a nawet nie przykłada wagi do dat miesiączek i dlatego często nie wie, w którym miesiącu ciąży się znajduje.

Po wizycie w „szpitalu” podjechały po nas dwa motory. Upchaliśmy się na nich wraz z naszymi wielkimi siatkami i pojechaliśmy do hotelu, w którym miałyśmy spędzić noc. Tam też zjadłyśmy lunch (dużą ilość ryżu ze smażonym mięsem i warzywami), po czym ucięłyśmy sobie drzemkę - Khmerzy jak tylko mogą lubią robić sobie poobiednie sjeasty.

Po sjeście razem z pacjentką odwiedziłyśmy ludzi pracujących w organizacji, która zajmuje się obroną praw człowieka. Po khmersku wszyscy dyskutowali o sytuacji naszej klientki, o ojcu dziecka, który nie przyznaje się do gwałtu, o papierach, które trzeba wypełnić i niezbędnych raportach policyjnych, które trzeba zatawić. Nie rozumiałam ani słowa, więc co jakiś czas ktoś mi tłumaczył ogólny kontekst całej sprawy. Wszystko to trwało dwie godziny, ustalono dalsze postępowanie z klientką, a my o godzinie 16 skończyłyśmy pracę. Wracałyśmy do hotelu na piechotę, po drodze zatrzymując się na sok z trzciny cukrowej i na robienie sobie wspólnych zdjęć, które Khmerzy tak bardzo uwielbiają (umieszczę je tu po uzyskaniu zgody moich współpracownic). Na kolację zjadłyśmy oczywiście kolejną porcję ryżu i zupę z mięsem, kalafiolem i sokiem wyciśniętym z limonki (najpierw dziewczyny powiedziały mi, że zamówiły zupę z sokiem pomarańczowym - na szczęście okazało się, że po prostu pomyliły im się słowa po angielsku). Po kolacji uczyły mnie nowych słów po khmersku, a o godzinie 21 już wszystkie leżały w łóżku - o tej porze wszyscy Khmerzy chodzą spać. Ja, nie mogąc zasnąć, wyszłam pogadać przez telefon z Ewą i poobserwować spadające gwiazdy.

Następnego dnia dziewczyny obudziły mnie o 6.30 - trzeba było zebrać się do pracy. Po raz pierwszy zjadłam typowe khmerskie śniadanie: zupę z makaronem ryżowym, mięsem, papryczkami chili, zieleniną, kietkami soi i sosami: sojowym i rybnym. Do tego kawa, którą wszyscy dostadają tu mlekiem z puszki.

Po śniadaniu wsiadłyśmy do tuk tuka i pojechaliśmy nad jezioro: okazało się, że dom jednej z naszych klientek znajduje się na wyspce gdzieś po środku jeziora.



Sama pacjentka jest niepełnosprawna ruchowo i mieszka tam z małym dzieckiem i mamą-staruszką. Razem z nimi godzinę płynęła małą łódką, by się z nami spotkać. Tam, pod drzewem nad jeziorem, dziewczyny przeprowadziły z nią długą rozmowę, której nie zrozumiałam, i wręczyły jej leki, które przywiozły z Phnom Penh, a także mleko w proszku dla dziecka (bo mama chce wrócić do pracy), sól fizjologiczną i suplementy diety do rozpuszczania w wodzie. Pacjentka, jak wszystkie inne, musiała podstemplować się pod listą rzeczy, które otrzymała - a jako że wiele z nich nie potrafi pisać, pacjentki stemplują się palcem, maczając go wcześniej w czerwonym tuszu.

Przesiadłyśmy się do samochodu: starej toyoty, oczywiście bez klimatyzacji. Było nas 6 osób: my we trzy na tylnym siedzeniu, kierowca i dwie towarzyszące mu osoby na przednim fotelu. Na stacji benzynowej

kupiliśmy przekąski: grillowane na patyku banany i zielone mango, które jada się tu z przyprawami (solą i chili). Jechaliśmy do domu naszej drugiej, ciężarnej pacjentki - tej samej, z którą byliśmy dzień wcześniej w szpitalu. Wieźliśmy jej dwie wielkie torby: ubrania dla dziecka, pampersy, koce, podpaski, mydło, szczoteczki do zębów, pieluchy tetrowe, czajnik, naczynie do sterylizacji wody... Przejeżdżaliśmy długą drogą przez pola ryżowe - wokół nie było nic. I właśnie tam nagle zepsuł nam się samochód. Kierowca zaczął grzebać w silniku, my zrobiliśmy sobie kolejną serię zdjęć.



Samochód naprawiony, jedziemy dalej, po 50 metrach - znów stajemy. Okazało się, że trzeba jednak odwiedzić mechanika. Na szczęście był niedaleko i udało nam się jakoś do niego dojechać. Gdy naprawili nam samochód, jechaliśmy dalej, przez coraz węższe ścieżki, gdzie dookoła raz na jakiś czas pojawiały się bambusowe chatki - nic poza tym. W takiej chatce mieszkała nasza pacjentka. Usiadaliśmy w ich

„kuchni”, czyli na bambusowym podeście, i wręczyliśmy jej wszystko, co przywieźliśmy jej z Phnom Penh, po czym dziewczyny poprosiły mnie, bym opowiedziała jej o porodzie: okazało się, że ona nie wie zupełnie nic - ani o ciąży, ani o porodzie. Zbiegły się wszystkie kobiety ze wsi - w tym jeszcze jedna ciężarna. Znalazłam obok kawałek starej lalki (bez nóg ani rąk), i za jej pomocą wytłumaczyłam, co się dzieje w porodzie, na czym polegają skurcze, jak sobie z nimi radzić, a także o łożysku i karmieniu piersią.



W zamian dostaliśmy od nich ogromny worek ryżu, którego nie mogliśmy przyjąć, bo wystarczyłoby na wykarmienie całej ich rodziny przez tydzień. Przed wyjazdem poprosiłam o wskazanie mi toalety - okazało się, że jest u sąsiada (i jest po prostu dziurą w ziemi), i zebrałyśmy się z powrotem do Phnom Penh, po drodze zajadając ryż z ziarnami soi i wiórkami kokosowymi, zapiekany w korzeniu bambusa.